

KAPUCYNI i MISJE



Biuletyn Misji Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

ISSN 1642-8897, rok 2017, nr 1



*„Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody, udzielając im chrztu
w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Uczcie je zachowywać wszystko,
co wam przykazałem. A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni,
aż do skończenia świata”*

(Mt 28, 19-20)



Drodzy przyjaciele misji kapucyńskich!

W Kościele polskim tegoroczny rok duszpasterski przeżywamy pod hasłem: „Idźcie i głoscie”. Czy słyszeliśmy o tym programie duszpasterskim? Kto ma iść i do kogo? I co ma głosić? W wielu środowiskach pokutuje jeszcze stereotyp, że ewangelizacją zajmują się wyłącznie osoby duchowne. W tym przypadku to „idźcie” odnosi się do Kościoła, czyli wszystkich ochrzczonych, którzy tę wspólnotę tworzą. Gdzie mamy iść? Nie chodzi tutaj o specjalne wyjazdy misyjne gdzieś do odległych krajów świata. Wystarczy wyjść ze swojego „świata”, w którym często współczesny człowiek się zamyka i lubi przebywać. Wyjść na przeciw potrzebom najbliższym. Rodzice w stosunku do dzieci i odwrotnie. Szczególnie wtedy, kiedy przeżywają oni choroby i swoją starość. Wyjść do ludzi samotnych, niezaranowanych życiowo, itd. Zaangażować się w grupy charytatywne czy modlitewne przy parafiach. Iść jeszcze w inne miejsca ludzkich potrzeb, których na pewno nie brakuje, a tutaj trudno ot tak je wymienić. Co mamy tym ludziom głosić? Ewidentnie chodzi tutaj o mówienie o Chrystusie, ale nie w sposób katechetyczny. Mówić o Chrystusie, to raczej dzielić się z drugim człowiekiem swoim doświadczeniem życia z Chrystusem. I wcale nie chodzi o słowa, ale o konkretne postawy, gesty i uczynki miłości. Przykładem takiej właśnie postawy i konkretnego zaangażowania w głoszenie Chrystusa drugiemu człowiekowi była śp. Helena Kmieć, polska wolontariuszka zamordowana w styczniu w Boliwii. O jej pięknym, choć krótkim życiu mieliśmy okazję dowiedzieć się z transmisji radiowej i telewizyjnej 19 lutego z obrzędów pogrzebowych w Libiążu. To jedna z tych wielu tysięcy młodych ludzi całego świata, których papież Franciszek

posłał na zakończenie Światowych Dni Młodzieży, mówiąc im: „Idźcie i głoscie”.

Zagubiony współczesny człowiek, oddalony od Boga i Jego praw, coraz bardziej działa destrukcyjnie. Przejawem tej destrukcji i coraz większego ludzkiego egoizmu są wojny w różnych zakątkach świata, o których papież Franciszek mówi wprost, że jest to III wojna światowa, którą przeżywamy w kawałkach. Kto z nas nie słyszał o konfliktach na Ukrainie, Bliskim Wschodzie czy w krajach afrykańskich? Na własnej skórze przeżywają tę rzeczywistość nasi bracia misjonarze z Republiki Środkowoafrykańskiej. Jak już może wiecie z doniesień prasowych, 2 lutego w Bocaranga miał miejsce napad bandytów z ex-seleka. Po czterech godzinach strzelaniny w mieście, znaleziono 18 zabitych osób i dziesiątki ludzi poranionych. Bandyci wdarli się również do misji, gdzie pracują bracia Robert Wnuk i Tomasz Świata. Zabrali pieniądze, komputery, komórki i motocykl. Na szczęście nikomu na misji nic się nie stało. Takie sytuacje zdarzają się co pewien czas w różnych częściach tego kraju i nie ma nadziei na bliskie ich zakończenie. W kontekście tych wydarzeń cóż my możemy uczynić, jak pomóc? W 100. rocznicę fatimskich objawień Maryja przychodzi do nas, jak wtedy do dzieci, z wciąż aktualną zachętą do nawrócenia i pokuty jako skutecznym narzędziem walki ze złem. Trzeba nam na nowo, z gorliwością i zaufaniem wypełniać prośbę Maryi skierowaną do dzieci: „Odmawiajcie codziennie Różaniec, aby uzyskać pokój dla świata i koniec wojny”.

Dziękuję Panu Bogu za Was, Przyjaciele misji, że jesteście tymi, którzy „idą i głoszą”. Modlę się, aby takich ludzi było jak najwięcej.



*Z okazji Świąt Zmartwychwstania Pańskiego
wszystkim Czytelnikom biuletynu
i Darczyńcom misji kapucyńskich
składam najserdeczniejsze życzenia.
Życzę ufnej wiary w ostateczne zwycięstwo
dobra nad złem, życia nad śmiercią,
prawdy nad fałszem, miłości nad egoizmem.
Nasz Pan żyje, a my wraz z Nim.
Radujmy się i weselmy, Alleluja !!!*

br. Jerzy Steliga



Ngaoundaye – nowa misja, nowe wyzwania

br. Piotr Michalik OFMCap

Pokój i Dobro!

Minęło już kilka miesięcy, od kiedy wróciłem z urlopu w Polsce. Wiele się w tym czasie u mnie działo.

Zaraz po przyjeździe z Polski, będąc jeszcze na starej misji w Bouar, dałem sobie dwa tygodnie, by dokończyć projekt budowy szkoły w Dongue Yoyo. To było wariactwo. Bracia wypominali mi, że nawet w niedzielę pracuję (tylko kupowałem i ładowałem na samochód – minimum konieczne). Z pomocą murarzy i mieszkańców wioski, pracując od rana do zmroku, udało się wykonać wszystkie prace budowlane w wyznaczonym terminie. Tylko stolarnia się nie popisała – nowe ławki do szkoły nie były jeszcze gotowe. Ale w czasie jednego z moich przejazdów w październiku ubiegłego roku widziałem, że dzieci już się uczą w nowym budynku i wśród nowych szkolnych sprzętów.



Po dokończeniu budowy szkoły załadowałem cały mój dobytek do samochodu i pojechałem do Ngaoundaye – mojej nowej misji. Trasa długości 230 km na północ zajmuje mi cały dzień. Na miejscu wita mnie brat Pio (Włoch). Wraz z br. Pio i br. Séverin (neoprezbiterem, Środkowoafrykańczykiem) będziemy tworzyć tę nową wspólnotę kapucynów. Za kilka tygodni ma dołączyć jeszcze do nas brat Francesco z Włoch.

Na miejscu nie mam zbyt dużo czasu na aklimatyzację. Trzeba rozpocząć pracę w parafii i otworzyć rok duszpasterski. Na początku muszę przeprowadzić, między innymi, trzydniową formację katechistów, spotkanie z radą parafialną, wznowić po przerwie wakacyjnej działalność różnych grup istniejących w parafii i otworzyć Centrum Kulturalne. A na misji pracy też nie brakuje.

Jak popatrzymy na mapę Republiki Środkowoafrykańskiej, to na jej północno-zachodnim krańcu widać trzy granice, które się schodzą: Czadu, Kamerunu i RŚA. I to tu właśnie znajduje się Ngaoundaye: 14 km

od Kamerunu i 10 km od Czadu. To miasto przygraniczne – co ma swoje zalety (handel), ale też niedogodności (bandytyzm transgraniczny).

Ngaoundaye nosi rangę miasta powiatowego. Tutejsza ludność to plemię Pana (nieraz muszę się gryźć w język, by nie pozdrowiać ich w języku Gbaya – ludności okolic Bouar). Jest to lud pracowity z tradycjami typowo rolniczymi.

Klimat jest zupełnie inny niż na mojej poprzedniej misji w Bouar, choć obie miejscowości leżą w odległości zaledwie 230 km. Bouar leży na płaskowyżu (1000 m nad poziomem morza), jest tam w miarę chłodno i pora sucha nie jest tak strasznie długa. Natomiast Ngaoundaye znajduje się w dolinie rzeki Lim. Od reszty RŚA oddzielają nas góry Yadé (prawie 1500 m – najwyższe w RŚA), natomiast dolina Lim otwiera nas na gorące powietrze napływające z Czadu. W Ngaoundaye mamy klimat bardziej czadyjski niż środkowoafrykański. Czyli – sucho, gorąco, wydłużona pora sucha, skrócona deszczowa.

Kolejną trudnością są drogi w tej okolicy. Kiedyś jakiś stary misjonarz powiedział, że w sierpniu i wrześniu (okres najobfitszych opadów) jak nie masz potrzeby, to nie wyjeżdżaj z domu. I tu się to sprawdza. Poza nielicznymi wyjątkami, przejazd przez każdy most czy mostek grozi zapadnięciem się w czeluść pod nim. Drogi są tak zniszczone, że po deszczu są praktycznie nieprzejezdne. Codziennie dochodziły do nas informacje: dwie ciężarówki ugrzęzły w błocie, a jedna spadła z mostu... i tak w kółko. Od 24 lat jestem w Afryce i zawsze chciałem, żeby pora deszczowa kończyła się jak najpóźniej. Lubię zieleni, lubię, jak przyroda żyje, a do tego potrzeba deszczu. Teraz po raz pierwszy chciałem, by pora sucha przyszła jak najszybciej i wysuszyła te błota.

Z powodu stanu tutejszych dróg nie zawsze mogę skorzystać z samochodu. W nocy z soboty na niedzielę tak padało, że nie było jak wyjechać samochodem z Ngaoundaye w jakimkolwiek kierunku, do którejkolwiek z wiosek. Od razu za granicami miasta na obu drogach wyjazdowych były takie błota i potężne dziury, że przejazd stał się zupełnie niemożliwy. Co robić? Wziąłem wszystkie przybory do odprawiania Mszy św. do plecaka i poszedłem na piechotę do najbliższej wsi. Wędrując kilka kilometrów, miałem okazję, by pozdrowić mieszkańców i stwierdzić, co robią niedzielny rankiem: nie wszyscy byli w kościele...

Proszę o modlitwę za moich nowych parafian, o pokój dla tego kraju i w mojej intencji.

Pozdrawiam serdecznie

br. Piotr



Rekolekcje wielkopostne po afrykańsku

pisze br. Jerzy Steliga OFMCap

Kilka dni temu spotkałem brata Michała w zakrystii kościoła, z długą listą rzeczy, które potrzebował przygotować do wyjazdu na ferie zimowe z młodzieżą. To zdarzenie przypomniało mi rutynową praktykę z Afryki. Kiedy wyjeżdżałem do buszu, do pracy przy budowie kaplicy, szkoły czy naprawy mostu zawsze robiłem listę rzeczy potrzebnych do zabrania ze sobą. Dzień wcześniej przygotowywałem listę, aby nazajutrz po śniadaniu szybko załadować samochód i wyruszyć w drogę. Nie obyło się jednak bez wpadek. Czasami czegoś zapominałem i trzeba było wracać do domu. Tak jak np. benzyny do generatora lub przedłużacza elektrycznego. Pół biedy jeśli dystans nie przekraczał 20 km. Zdarzały się też sytuacje nieprzewidziane. Przy naprawie jednego z mostów zepsuła się wiertarka i aby w tym samym dniu dokończyć prace, trzeba było pojechać po następną do domu. Nauczony takimi niespodziankami, podczas kolejnych wyjazdów niektóre narzędzia brałem w dwóch egzemplarzach. Nie tylko do prac technicznych robiłem listy. Szczególnie w okresie



wielkanocnym, podczas którego udzielałem wielu sakramentów trzeba było zrobić listę rzeczy koniecznych do sprawowania liturgii. Każdy etap przygotowania osób dorosłych do sakramentu chrztu kończył się odpowiednim obrzędem, podczas którego katechumeni otrzymywali konkretny znak. Po pierwszym roku katechumenatu był to medalik z Matką Bożą; po drugim – sól; po trzecim – olej katechumenatu. W czwartym roku przyjmowali chrzest, którego widzialnym znakiem był krzyżyk zawieszany na szyi. Wielu katechumenom, szczególnie tym, którzy przerwali katechezę na kilka lat, konkretny znak pozwalał przypomnieć sobie etap wcześniej zaliczony. Przy sakramencie małżeństwa trzeba było pamiętać o obrączkach. Szczególnie dużo rzeczy trzeba było zabrać ze sobą wyjeżdżając na całe Triduum Paschalne. Kiedyś pojechałem udzielić sakramentu chrztu do odległej wioski. Zapomniałem zabrać ze sobą rytuał obrzędów sakramentalnych. Na szczęście w walizce mszalnej miałem mszalik na Triduum Paschalne, w którym jest Litania do Wszystkich Świętych, odnowienie przyrzeczeń chrzcielnych i poświęcenie wody. Słowa sakramentalne znałem na pamięć, a resztę improwizowałem. W takich sytuacjach jak ta, przypominałem sobie humorystyczne, polskie powiedzenie: „Trzeba sobie radzić – powiedział baca – zawiązując buta dżdżownicą”. Podczas wyjazdu na kilka dni do buszu koniecznie trzeba było pamiętać o wodzie pitnej. Najczęściej brałem bidon 20-to litrowy, aby mieć zapas na wszelką ewentualność. Zabierałem też łóżko polowe z moskitierą, to znaczy gęstą siatką przeciwko komarom. Nawet takie „drobne sprzęty” jak łóżko czasami zapomina się załadować na samochód. Pewnego razu byłem już 40 km w drodze i dopiero mnie olśniło, że nie mam ze sobą łóżka. Pomyślałem wtedy, łóżko rzecz niekonieczna, więc nie będę się po nie wracał. Na pewno znajdzie się jakaś mata lub łóżko w domu katechisty – przeleciało mi przez głowę. Faktycznie katechista miał łóżko dla gości nawet z materacem. Kilka dni po powrocie z tej wioski zaczęła mnie swędzić skóra i pojawiła się wysypka. Od lekarza dowiedziałem się, że mam świerzb i konieczne jest zażywanie lekarstwa. Od tej pory zabierałem już ze sobą łóżko, przywołując w pamięci dobrze znane powiedzenie ludowe: „Jak sobie pościelisz tak się wyśpisz”.

W Czadzie, rokrocznie, w okresie Wielkiego Postu organizowane były rekolekcje wielkopostne. Przeprowadzane były one w centrum parafii i poszczególnych sektorach, które gromadziły katolików z 5-6 wiosek. Wielki Post przypada tam w okresie pory suchej, gdzie nie ma

prac polowych, dlatego wielu wiernych chętnie w nich uczestniczyło. Najwięcej uczestniczących w rekolekcjach było oczywiście z wioski, w której były one organizowane. Wcześniej, z sekretariatu diecezji, otrzymywaliśmy broszury z programem rekolekcji przygotowanym dla całej diecezji. Rozpisane były tematy na poszczególne dni, wybrane do nich Słowo Boże, komentarze, katechezy i pytania do pracy w grupach. Wszystko wydrukowane było w dwóch językach: francuskim i ngambaye, co ułatwiało zrozumienie treści obu stron, czyli mnie i tubylcom. Przed rekolekcjami robiłem spotkanie katechistów, aby podzielić pracę i omówić tematy. Było to konieczne, aby najpierw oni zrozumieli treść katechez i później przekazali wiernym istotę danego tematu, a nie pletli byle czego. Tak naprawdę nauki rekolekcyjne prowadzili katechiści, a ja czuwałem nad całością i ewentualnie odpowiadałem na pytania. Zwyczajowo spotkania rekolekcyjne odbywały się w buszu poza wioską. Wtedy ani zwierzęta, ani przypadkowi ludzie z wioski nie przeszkadzali nam w spotkaniu. Na spotkanie wybierano zaciszne miejsce, gdzie rosło dużo wysokich drzew liściastych. W porze suchej wcale nie jest łatwo o takie miejsce, ponieważ większość drzew, podobnie jak u nas w zimie, zrzuca liście. W trakcie spotkania trzeba było przesuwac się kilkakrotnie z miejsca na miejsce, zgodnie z ruchem słońca, aby przynajmniej głowę móc skryć w jakimkolwiek cieniu. Dodatkowe ruchy po placu spowodowane były jeszcze inwazją tysięcy małych muszek. Są one bardzo uciążliwe, wpychają się do uszu, nosa i oczu. Zabijanie ich, przynosi wprost odwrotny skutek. Im więcej zabijasz, tym więcej krąży ich nad twoją głową, bo kiedy je rozniatasz, wydzielają specyficzną woń, która przyciąga kolejne. Niewielki skutek daje też wachlowanie się gałązką z liśćmi. Zresztą, od wachlowania się przez kilka godzin, omdlewają ręce. Najskuteczniejszym środkiem chroniącym przed tymi bestiami, nie boję się użyć takiego określenia, jest dym. Zapala się wokół placu wysuszone krowie odchody, które dają dużą ilość dymu. W takich momentach robiłem wszystko, aby usadowić się w jego zasięgu. Kiedy ruch powietrza się zmienił, szybko przesunąłem swój stółek, aby znaleźć się ponownie w objęciach „wybawcy”. Co to za ulga, jedynie wie tylko ten, kto przebywał w buszu. Wielokrotnie też jeździłem do buszu po drewno na opał do kuchni misyjnej. Aby się uchronić od tych małych bestii zrobiłem sobie specjalną siatkę na mój kapelusz, podobną do tej jaką noszą pszczelarze. Było w niej ciepło, ale zdecydowanie spokojniej. Ludzie



podczas konferencji siedzą na matach lub na świeżych liściach z drzew. Co ciekawe, niektóre drzewa wypuszczają liście szybko po spaleniu traw jeszcze w porze suchej. Spotkanie rekolekcyjne zaczynało się pieśnią i modlitwą poranną. Później była proklamowana Ewangelia i głoszona katecheza. Po katechezie miała miejsce około piętnastominutowa modlitwa indywidualna. Po niej wierni udawali się do pracy w grupach, aby odpowiedzieć na pytania dotyczące katechezy. Sekretarz każdej grupy miał zapisać wypowiedzi na kartce. W grupach szczególnie ożywiały się kobiety, które na ogólnym zgromadzeniu raczej wstydziły się zabierać głos. Po zakończeniu prac grupowych przedstawiano jej owoce na forum ogólnym. Jeśli były jakieś niejasności lub pytania starałem się je wyjaśniać i na nie odpowiadać. Na zakończenie danej katechezy modlono się spontanicznie w różnych potrzebach. Do mnie też należało ogólne podsumowanie katechezy. W takim mniej więcej porządku przebiegało każde spotkanie. Podczas rekolekcji rozważano pięć katechez; jedną do południa, a drugą po południu każdego dnia. Wieczorami, w pierwszy dzień odprowadzano Drogę Krzyżową; w drugi – Nabożeństwo pokutne połączone ze spowiedzią; a w trzeci kończono rekolekcje Mszą świętą. Myślę, że taka forma przeżywania rekolekcji związana z całkowitym oderwaniem się od codziennych zajęć przynosiła oczekiwane owoce. Osobiste zaangażowanie uczestników w tworzenie rekolekcji też pomagało w zapamiętaniu wielu treści pomocnych w codziennym życiu chrześcijańskim.





Mosty, a raczej ich brak

z Ngaoundaye pisze br. Piotr Michalik OFMCap

Pokój i Dobro!

W tym tygodniu dopadła mnie malaria. Można się było jej spodziewać. Dlaczego? Aby było to zrozumiałe, zacznę historię od początku.

Nie do wszystkich moich wiosek można dojechać samochodem. To znaczy teoretycznie można – przez parafię Bocaranga i wioski opanowane przez bandytę o nazwisku Sidiki. Cztery razy dłuższa trasa, bardzo złej jakości droga, niebezpieczna podróż... Dlatego na razie nie jeżdżę tam samochodem.



Wymyśliłem sobie, że dojadę do tych wiosek rowerem. Ostatnio otrzymałem z Polski rowery od jednego z moich przyjaciół. Zaczęłem jeździć po Ngaoundaye, aby sprawdzić rower i swoją kondycję. Siostra Małgorzata, pasterzanka pracująca na pobliskiej misji i pomagająca mi w duszpasterstwie w wioskach, powiedziała, że też pojedzie na rowerze i zaczęła ćwiczyć. Jednak zachorowała na malarię i w końcu nie pojechała.

W sobotę z jednym z moich braci, neoprezbiterem Séverin – Środkowoafrykańczykiem mieszkającym ze

mną na misji – pojechaliśmy samochodem do Assana, miejscowości oddalonej o 51 km od Ngaoundaye, a stamtąd miałem udać się już dalej na rowerze. Uprzedzeni przez ludzi, wzięliśmy ze sobą deski.

20 lat temu naprawiono drogę i zrobiono porządne mosty dla samochodów dostarczających bawełnę do działającej wtedy fabryki. Mosty składały się z betonowych przyczółków i metalowych teowników od brzegu do brzegu, na których były ułożone w poprzek grube jak podkłady kolejowe bale. Na takiej konstrukcji układano z desek dwa pasma, po których toczyły się koła samochodów. Assana było granicą pól bawełny, bardziej na południe już jej nie uprawiano. Pomyślałem, że do Assana jakoś dojedziemy, a poza Assana mam jeszcze 3 wspólnoty. Dalej były i są tylko przejazdy w bród przez rzekę lub mosty z gałęzi robione przez mieszkańców wiosek....

Po 20 latach z „podkładów kolejowych” i desek na mostach nic już, oczywiście, nie zostało, ale ludzie, którzy chcą, by dojeżdżały do nich samochody, jakoś je naprawiają: ścinają drzewa w buszu, kładą je w poprzek (najpierw pozbawiając gałęzi), wiążą (jeśli mają czym) i przysypują ziemią laterytową. Można bezpiecznie po nich przejechać. Na drodze do Assana minęliśmy dwa takie mosty, ale trzeci most składał się tylko z niepowiązanych ze sobą belek, luźno przerzuconych na drugą stronę. Można było po nich przejechać, ale było ryzyko, że samochód zamiast na nie wjechać, zacznie je przed sobą popychać i spadnie z mostu. I tu bardzo nam się przydały zabrane na drogę deski. Położyliśmy je tam, gdzie koła miały najechać, br. Séverin mnie naprowadzał i przejechałem. Załadowaliśmy deski z powrotem na samochód i dalej w drogę.

W Assana oczywiście ludzie powitali nas z wielką radością. Po katechezie, spowiedzi i Mszy świętej puściłem wieczorem filmy z naszego obwoźnego kina. Oglądaliśmy chóry chrześcijańskie oraz wizytę papieża Franciszka w Bangui.

Następnego dnia czekała mnie dalsza droga. Niestety, pierwszy zwalony most był zaraz za wioską – samochód by nie przejechał, więc nie było sensu, żeby br. Séverin mnie podwoził. W niedzielę został na Mszę w Assana, a ja, by się nie spieszyć i nadmiernie nie spociec, a także dotrzeć, kiedy jest jeszcze relatywnie chłodno, wyruszyłem na rowerze w drogę o 5:30. Plecak z tym, co konieczne w podróży – przyborami do Mszy świętej, materiałami do naprawy dętki, wodą i garścią cukierków – miałem ze sobą. Chłód czułem tylko przez pierwszych kilkaset metrów, potem koszulka pod



plecakiem bardzo szybko zrobiła się mokra. Droga nie biegła grzbietem wzniesienia, dzięki czemu byłaby w miarę płaska, ale szła sinusoidą: cały czas w górę i w dół.

W Polsce, gdy jeździłem rowerem, nigdy nie lubiłem gór, ale przynajmniej miałem jakąś motywację. Męcząc się pod górę, czekałem na to, że z górki będzie jazda za darmo – można rozpędzić się i czuć pęd powietrza w uszach... Tu nic z tego. Zjeżdżając, ręce masz cały czas na hamulcach bo na wąskiej ścieżce albo są dziury, albo kamienie, albo korzenie, albo piach, albo wszystko naraz. Jeden podjazd pod górę przypominał szlak turystyczny w Tatrach: same kamienie. Czy się wjeżdża, czy się zjeżdża, trzeba zsiść z roweru i iść na piechotę kilkaset metrów. A wszystko ze świadomością, że jak się wywrócę i zrobię ósemki z kół albo sobie skórkę z twarzy zedrę, to nikąd nie doczekam się pomocy. Będę musiał na piechotę wrócić do samochodu te kilkanaście kilometrów.

O 7:15 dotarłem do wioski Kaïta, celu mojej podróży. To duża wioska, tak jak inne na tej drodze, choć wielu ludzi z powodu wojny domowej uciekło do Kamerunu. Jechałem półtorej godziny, reszta czasu poszła na rozmowę z ludźmi po drodze. W połowie drogi zrobiłem też odpoczynek – odmówiłem Jutrznie. W Kaïta moje pojawienie się sprawiło ludziom niespodziankę. Na Mszy było ich jednak mało, bo tego ranka umarło dziecko pastora luterańskiego, więc wiele osób poszło na stypę. Po Mszy był obiad u katechisty i szybko zbierałem się w drogę powrotną, żeby w Assana być przed południem, czyli największym upałem. Udało się, ale było ciężko. Pedalując przez 15 km, czułem, że siły mnie opuszczają.

Gdy wróciliśmy do Ngaoundaye, jeszcze siłą woli rozpakowałem samochód, wzięłem prysznic i dopiero odpocząłem. A w poniedziałek – gorączka i atak malarii... Ktoś się może oburzyć – 30 km rowerem i taki zmordowany?! Fakt, mało kilometrów, ale ja nie jestem już najmłodszy, ponadto jechałem wybitnie trudną drogą w tropikalnym klimacie. Tyle mam na swoje usprawiedliwienie.

Od powrotu cały czas myślę o tych mostach między Assana i Kaïta, tym bardziej, że za Kaïta są jeszcze dwie inne wioski: Bossemte (4 km) i Boyangou (kolejne 3 km), do których też chciałbym dojechać. Gdybym jechał ro-

werem, droga będzie lepsza, w miarę płaska i żadnych mostów. Jednak dobrze byłoby dojechać tam samochodem, bo na rower nie mogę wziąć całego sprzętu przydatnego do animacji wspólnot. Ponadto, jak pokazuje ostatnie doświadczenie, to już nie te lata i nie te siły.

Między Assana i Kaïta są dwa mostki, obok których są możliwe przejazdy w bród. Ale są też kolejne dwa mosty, gdzie nie da się przejechać w bród. Co więc robić? Na szczęście Opatrzność działa. Gdy o tym rozmawiałem z moim współbratem Robertem Wieczorkiem, podsunął mi pewne rozwiązanie i będzie szansa na zbudowanie jednego z mostów, tego, który jest krótszy i niższy... A ten drugi? Myślę, że Opatrzność w odpowiednim czasie podsunie mi rozwiązanie...

Gdyby udało mi się zbudować choć jeden most, na pewno ułatwiłoby mi to pracę i życie. Jednak korzyść byłaby przede wszystkim dla mieszkańców okolicznych wiosek.

Mieszkają tam ludzie ciężko doświadczeni przez życie. Gdy w 2014 rebelianci seleka wycofywali się z RSA, część z nich wybrała ucieczkę tą drogą. Efektem są spalone wioski, rozkradzione mienie, wiele ofiar: zabitych i rannych. Od tego czasu część mieszkańców uciekła do pobliskiego Kamerunu i do dzisiaj nie wróciła. Na początku tego roku muzulmański bandyta Sidiki założył



tu swoją bazę. Sterroryzowani ludzie, chcąc nie chcąc, musieli go milcząco znosić. Gdy złupił miejscowych, teraz przeniósł się do de Gaulle w parafii Bocaranga i tam wprowadza swoje rządy. Jednak ludzie nadal boją się, nie chodzą do buszu i nie zaczynają upraw. Jeśli z powodu braku mostów nadal będą odcięci od świata, to nie ma dla nich przyszłości. Nie będzie tu handlu, nie pojawią się organizacje pomocowe ze swoimi inicjatywami, nikt z rządu nie zainteresuje się nimi, a przede wszystkim żołnierze nie zjawiają się, by ich chronić... Widziałem pompy przy studniach, których nie ma komu naprawić, bo nie da się tu dojechać. Szkoła nie funkcjonuje od dwóch lat, rząd nie wysyła do szkół w tym rejonie dyrektorów i nauczycieli. Mieszkańcy muszą sobie radzić sami. Parę mostków umożliwiłoby dojazd do tych wiosek, a to mogłoby wiele zmienić.

Pozdrawiam serdecznie

brat Piotrek



Sieroty – tak, sierociniec – nie

pisze br. Robert Wieczorek OFMCap

Od 1994 r. pracuję na misjach w Republice Środkowoafrykańskiej. Jeśli w ogóle zdecydowałem się na święcenia kapłańskie, to ze względu na pragnienie wyjazdu na misje do Afryki, bo tu kapłanów brakuje. Republika Środkowoafrykańska to państwo położone w samym sercu kontynentu. Jest dwa razy większe niż Polska, a jednocześnie żyje tam prawie dziesięć razy mniej ludzi. Południową część państwa pokrywają lasy równikowe, a północ to głównie sawanna przechodząca w step. Kraj jest jednym z najgorzej rozwiniętych państw Afryki, biorąc pod uwagę dochody mieszkańców, poziom szkolnictwa, opieki medycznej i średnią długość życia obywateli. Ponad połowa dzieci nie ma dostępu do szkół. Budynki szkół państwowych, w których prowadzone są zajęcia, to obraz zupełnej nędzy: rozpadające się ściany i dachy, brak podłóg, ławki połamane i pogryzione przez termity. Dla wielu klas zajęcia prowadzone są pod zadaszeniem ze słomy.

Tragiczną sytuację pogłębia jeszcze chaos panujący w kraju po rebelii, która wybuchła wiosną 2013 r. Rebelianci zwani seleka (co w miejscowym języku sango znaczy 'zjednoczenie', 'przymierze') byli w rzeczywistości najemnikami rekrutowanymi z Sudanu i północnego Czadu. Tam, gdzie przeszli, rabowali domy, szkoły, szpitale, nie oszczędzając nawet przytułku dla ubogich prowadzonego przez siostry św. Matki Teresy z Kalkuty. Większość z nich była muzułmanami, co u miejscowej ludności, w większości chrześcijańskiej, wzbudziło chęć odwetu. Dlatego arcybiskup Bangui apelował i apeluje: „Nie wszyscy muzułmanie to seleka i nie wszyscy seleka to muzułmanie. Strzeżmy się odpowiedzialności zbiorowej! Seleka to najczęściej najemnicy, zbiry spod ciemnej gwiazdy, awanturnicy, którzy przybyli do RSA w poszukiwaniu łatwego łupu”. Tutejsi ludzie są bardzo pokojowo nastawieni i dalecy od sięgania po przemoc. Trzeba ich faktycznie doprowadzić do ostateczności, by się zdecydowali na zbrojną odpowiedź. Do naszej szkoły katolickiej chodzą też dzieci protestanckie i muzułmańskie. W szpitalu leczy się wszystkich bez rozróżniania, skąd kto pochodzi i jakiego jest wyznania. Silimy się na normalne życie. Gdy inni bawią się w wojnę, my myślimy o przyszłości. Nie trzeba się dać zwariować! Siostry, na przekór temu, co się nazywa zdrowym rozsądkiem, otworzyły kolejny oddział szkolny, czyli pierwszą klasę naszego nowego gimnazjum katolickiego w Ndim. Trzeba z żywymi naprzód iść!

Mógłbym poprzestać na podaniu samych suchych danych na temat mojej misji. Wtedy raport brzmiałby

krótko: w tym roku Zespół Charytatywny Caritas parafii św. Józefa w Ndim, obejmującej 18 wiosek, pomaga 195 sierotom – 160 uczniom naszych katolickich podstawówek i 35 gimnazjalistom. Za odpowiednik 100 polskich złotych można w Ndim zapewnić dziecku opłatę czesnego i wyprawkę szkolną, a za drugie tyle – przez cały rok skromny posiłek w południe, po lekcjach. Gdy chodzi o gimnazjalistów, to wydatki są odpowiednio większe: by opłacić szkołę, potrzeba jakieś 250 złotych na rok. Kuchni już dla nich nie urządzamy – są wystarczająco duży, by sobie poradzić.



W porównaniu z polskimi realiami, taka suma na rok wydaje się być śmiesznie mała. Ale tu, w RSA, płace są niezmiernie niskie. To, co z perspektywy polskiej jest wielkim wydatkiem, dla nas jest bardzo dużą pomocą.

Dwadzieścia procent dzieci w RSA jest dotknięta sieroctwem. Tę sytuację odzwierciedlają też proporcje istniejące w naszej szkole. Na jakieś 700 dzieci w szkole podstawowej w Ndim ponad setka to sieroty. Ten bulwersujący fakt ma wiele przyczyn. Pierwszą jest szybka wymiana pokoleń: średnia wieku w RSA nie przekracza 45 lat. Wybuchające co parę lat rebelie niosą ze sobą liczne ofiary. Tych bezpośrednich jest stosunkowo niewiele, za to pośrednich – bardzo dużo. Walki zmuszają ludzi żyjących z roli do porzucania wiosek i pól, co sprawa, że kilka miesięcy później dopada ich głód. Rabunki oraz chaos w rachitycznej gospodarce pogłębiają i tak już wielką biedę. Powszechne rozprężenie niesie też dezorganizację w służbie zdrowia: brak leków i nieregularność szczepień powodują powrót epidemii dawno już, wydawałoby się, pokonanych, a 15% seropozytywnych w społeczeństwie pozwala AIDS na kontynuację swego cichego żniwa. Wszystko to sprawia, że liczba sierot jest stale bardzo wysoka.

W Ndim nie mamy jednak sierocińca. Chcę to bardzo mocno podkreślić: w specyficznym wiejskim społeczeństwie środkowoafrykańskim zachowała się jak dotąd silna solidarność rodowa, która nie pozwala na pozostawienie sierot samopas. Zawsze znajdzie się wśród krewnych ktoś, kto je przygarnie. I niech nas, misjonarzy, ręka Boska broni, by czasem naszą nadopiekuńczością nie przyczynić się do zniszczenia tego tradycyjnego skarbu.

Nasze sieroty mieszkają więc w rodzinach swych krewnych, tam też mają przysłowiowy „wikt i opierunek”. Nieuchronnie jednak bywają niekiedy traktowane jako dzieci „drugiej kategorii”. Kiedy na przykład rodzice rozważają, które dzieci posłać do szkoły, to wobec szczupłości środków często wybierają swoje własne, a te przygarnięte pozostają w domu.

Tej trudności parafialny Zespół Charytatywny Caritas stara się wyjść naprzeciw. Licząc na pomoc z Polski, zorganizowaliśmy się, by poznać sytuację sierot i oszacować potrzeby. By dać wszystkim równe szanse, pomagamy im przez opłacenie szkoły i posiłek w południe, współpracując przy tym ściśle z rodziną, bo oprócz strony materialnej dzieci mają też otrzymać wychowanie. Od rodzin wymaga się pokrycia dziesięciu procent kosztów szkoły. Nie zapominamy oczywiście o edukacji religijnej: o uczestnictwie sierot w katechezie i życiu Kościoła. To moja osobista troska.

195 osieroconych dzieci w jednej parafii. Za tą liczbą stoją konkretne osoby – te dzieci mają swoje twarze, nazwiska i historię życia. Rzućmy okiem na kilka takich żywych fotografii. Przy okazji zobaczymy, jak skomplikowany jest świat Afrykańczyków, w którym wiara ciągle miesza się z przesądami, a przemoc sąsiaduje z życzliwością i solidarnością.

Anastazja, Ernestyna i Angelo stracili ojca przed sześciu laty. Pamiętam dokładnie ten dzień, bo akurat wypadały wtedy moje urodziny. Wieczorem nadeszła jedna z ostatnich burz w kończącej się porze mokrej. Piorun strzelił niepokojąco blisko. Nazajutrz dowiedziałem się, że poraził w środku wsi mężczyznę i dwoje dzieci. Te ostatnie, choć doznały poparzeń, przeżyły, ale mężczyzna, Olivier, zginął na miejscu. Oszalała z bólu rodzina rzuciła oskarżenie na czterech sąsiadów, jako winnych... sprowadzenia pioruna i zabójstwa. W nocy doszło do linczu. Ktoś wezwał żołnierzy, by obronili oskarżonych przed rozszarpaniem przez tłum, ale ci nie byli lepsi. Czworo podejrzanych zostało zamkniętych w karcerze, przez całą noc byli torturowani przez stróżów prawa i w efekcie dwoje z nich zmarło. Wśród nich był Noel, który osierocił wspomnianą trójkę dzieci.



Jego dzieciom opłacamy teraz szkołę, bo są bardzo inteligentne. Angelo, prymus, jest w dodatku gorliwym ministrantem. Może coś dobrego z niego wyrośnie?

Zabity przez piorun Olivier był kuzynem Noela. Mimo pokrewieństwa, pozostawali ze sobą w jakimś zadawnionym konflikcie. Wraz z nieszczęściem, które dotknęło jednego, drugi też musiał odejść... A najbiedniejszy w tym wszystkim jest mój katechista, Pascal, bo jako kuzyn obydwu zmarłych tragicznie znalazł się w samym oku cyklonu. Najpierw zainkasował solidne baty, gdy próbował stawać w obronie linczowanych. Potem trafił pod jego opiekę osierocone dzieci Oliviera – Príncipe i Lenaic. A ma już sześcioro własnych, w tym córkę niepełnosprawną ruchowo z powodu choroby Heinego-Medina. W dodatku musiał też przyjąć do domu kolejne dzieci: jego młodszy brat Raymond zmarł nagle i pozostawił trójkę maluchów – Urban, Goscha i Paterne. Kuzynka Matylda zginęła przygnieciona workami, gdy ciężarówka, na której podróżowała, spadła z mostu do rzeki. Jej synek Wilhelm również trafił do Pascala. Trudno nie pomóc Pascalowi, by ogarnął całą tę gromadę.

Nazwalismy go Bienvenu, bo przyplątał się do Ndim z daleka, a nie wiedział nawet dobrze, jak się nazywa. Pani mer przedstawia mi u siebie w domu może ośmioletniego chłopca i opowiada, czego się o nim dowiedziała. Ma pochodzić ze wsi między Paoua a Bozoum, czyli miejscowości oddalonej od Ndim o jakieś sto kilometrów. Uciekł z domu, bo gdy pasał krowy, jedna z nich złamała sobie nogę. Ojciec bił go już wcześniej, teraz rozwścieczony pogonił za nim, wygrażając, że i jemu nogę złamie. Chłopak wymknął mu się jakoś z rąk, ale do wsi już nie chce wrócić. Wybrał się więc w drogę, do Mbaiboum, bo tam miała mieszkać i pracować jego matka. Muszę tu dodać, że jeśli jakaś młoda kobieta jedzie pracować do Mbaiboum (wielkie targowisko na granicy z Kamerunem), to po to, by się prostytutkować. Chłopiec wycieńczony dotarł do Ndim. Był głody, brudny i chory. Tradycyjnie w takich sytuacjach osobę w potrzebie prowadzi się do szefa wioski. Młody trafił więc do pani mer. Podjadł nieco, podleczył się – okazał się być pojętym i pracowitym chłopcem. Deliberowaliśmy razem, co z nim począć. Odesłać go do brutalnego ojca? Zawieźć do matki przebywającej w domu publicznym? Żadne z rozwiązań nie było dobre. Umówiliśmy się, że pani mer przygarnie dziecko do swojej rodziny, a Zespół Charytatywny Caritas pomoże w opłaceniu szkoły. Wprawdzie to nie sierota, ale przypadki socjalne bywają nieraz jeszcze trudniejsze.

Katechiści i rodzice zastępczy dzieci zrzeszeni w grupie samopomocowej trzymają pieczę nad sierotami, dbając o ich integrację w szkole i kościele, uprawiają też razem pole, by edukować sieroty do pracy i choć symbolicznie uczestniczyć w zapewnieniu im wyżywienia. Jeden prosty (ciepły, jednodaniowy) posiłek dziennie, wydawany w szkole podstawowej, kosztuje 100 franków środkowoafrykańskich. W przeliczeniu na nasze – czesne i obiad dla jednego dziecka to mniej niż złotówka dziennie!

Od sześciu lat, odkąd jestem proboszczem w Ndim, korzystam ze wsparcia wiernych w Polsce za pośrednictwem Fundacji Kapucyni i Misje. Życzliwość polskich katolików nie zawodzi! Niech Bóg hojnie wynagrodzi Wam waszą dobroć!

Brat Robert Wieczorek OFMCap z Ndim

W tegoroczny Tłusty Czwartek już po raz piątą nasza Fundacja Kapucyni i Misje przeprowadziła akcję „Wyślij pączka do Afryki”.



Pączkowaliśmy w całej Polsce. Choć akcja jeszcze się nie zakończyła – potrwa przez cały Wielki Post w ramach jałmużny wielkopostnej – chcemy się podzielić z Wami uzyskanymi do tej pory rezultatami. Do naszej akcji włączyły się 223 szkoły i przedszkola oraz 56 cukierni i parafii. Tysiące osób indywidualnych, odmawiając sobie zjedzenia prawdziwego pączka, złożyło ofiary na konto Fundacji. Dzisiaj licznik akcji pokazuje, że zebraliśmy 90% kwoty, która jest potrzebna do zrealizowania dzieła misyjnych prowadzonych przez braci kapucynów w Afryce.

Darowizny złożone w tym roku pozwolą naszym misjonarzom nadal udzielać pomocy ich najuboższym parafianom. Br. Robert Wiczorek będzie mógł po raz kolejny opłacić chesne w szkole i pokryć koszty wyżywienia osieroconych dzieci, które ma pod opieką w swojej parafii w Ndim. Taką samą potrzebę zaopiekowania się sierotami zgłosił br. Piotr Michalik w Ngaoundaye. Już wielokrotnie podawaliśmy kwotę, jaką trzeba wydać, aby dziecko mogło chodzić do szkoły i dodatkowo podczas lekcji dostać ciepły posiłek, który jest niejednokrotnie jedynym, jaki spożywa w ciągu dnia. Koszt tej opieki to 1 zł dziennie! To mała kwota w naszej polskiej codzienności, jednak nasza 1 złotówka może zmienić tak wiele w życiu osieroconego dziecka w Afryce.

Bardzo wiele polskich dzieci w szkołach i przedszkolach przeżyło się losom rówieśników z wiosek w Republice Środkowoafrykańskiej. Łatwo sobie przeliczyli, że za równowartość jednego lukrowanego pączka jakieś samotne dziecko w Afryce może się uczyć i wyżywić przez dwa dni! Dlatego tak chętnie pomagali, organizowali kiermasze i kwestowali na rzecz afrykańskich kolegów.

Opowiada pani Maria Pilch, dyrektor szkoły podstawowej: „W tym roku społeczność naszej szkoły w Jabłonce-Borach postanowiła trochę inaczej uczcić ostatki. Nie zjadaliśmy się jak zwykle pączkami, ale zamiast tego postanowiliśmy zrobić coś dobrego dla innych.

Włączyliśmy się w akcję charytatywną »Wyślij pączka do Afryki«, której celem jest pomoc osobom żyjącym w skrajnym ubóstwie. Zaangażowali się wszyscy: dyrekcja szkoły, nauczyciele oraz uczniowie. Akcję wsparły także panie z Koła Gospodyń Wiejskich. W Tłusty Czwartek 23 lutego już od samego rana przedstawiciele Samorządu Uczniowskiego pod opieką nauczycieli sprzedawali pączki po Mszy św. w Kościele Św. Brata Alberta w Jabłonce-Borach. Również podczas każdej z przerw wolontariusze rozprawiali słodkości na terenie naszej szkoły. Uczniowie bardzo chętnie przekazywali swoje oszczędności na rzecz potrzebujących dzieci w Afryce. Finałem akcji była sprzedaż pączków wśród mieszkańców, właścicieli firm, sklepów i innych instytucji działających w Jabłonce-Borach. Nasza szkoła często włącza się w różnego typu akcje charytatywne. Mamy świadomość, że mają one ogromną wartość wychowawczą, wyrabiają w dzieciach nawyk dzielenia się z ludźmi potrzebującymi, uświadamiają na krzywdę drugiego człowieka, uczą współdziałania w grupie”.



uczennice ze Szkoły w Jabłonce-Borach kwestują w Urzędzie Gminy

Co roku nasi misjonarze budują szkoły i wyposażają je w sprzęty i przybory naukowe. Wśród naszych przyjaciół i sympatyków misji opowiadamy o warunkach, w jakich uczą się dzieci w RŚA. Opisy klas lekcyjnych wzbudzają niedowierzanie. Grupa uczniów siedzących na kołkach wbitych w ziemię pod wiatą zbudowaną z patyków i zadyszona słomą to widok w RŚA spotykany dość często. Jednak trudno w taki obraz uwierzyć, patrząc z naszej europejskiej perspektywy. Jak można sobie łatwo wyobrazić, żadna wiedza nie wchodzi do głowy, gdy nauka odbywa się w takich warunkach. Deszcz pada na głowę w porze mokrej, a słomiany dach nie chroni uczniów przed 40-stopniowym upałem w porze gorącej. Zdjęcia projektowe, pokazujące nowe budynki szkolne powstałe w miejsce szałasów ze słomy, mówią same za siebie.

Bracia misjonarze pojechali do Afryki, żeby ewangelizować, swoim życiem dawać świadectwo umiłowania Boga i bliźniego. Ale nie potrafią pogodzić się z sytuacją, gdy ludzie cierpią z powodu braku podstawowych środków do życia. Brak wody, pożywienia i lekarstw to codzienne problemy parafian, wśród których posługują nasi misjonarze. I nie są to pojedyncze przypadki spowodowane niezaradnością czy nieroztropnością. Brak

wody, ponieważ studnia wyschła lub jej w ogóle nie ma w wiosce, dotyka całej społeczności. Długotrwała susza, wojna, klęska nieurodzaju – to najczęstsze przyczyny głodu, a człowiek pozostawiony w takich sytuacjach bez pomocy nie jest w stanie sam sobie poradzić. Dlatego misjonarze organizują pomoc i próbują zaradzić problemom, którym ludzie ubodzy nie są zdolni samodzielnie stawić czoła.



akcja „pączkowania” w Gimnazjum nr 29 w Zabrze

Dzięki naszym ofiarodawcom w Polsce i środkom pozyskanym z akcji „Pączek dla Afryki” powstanie nowa studnia w Bouar. Będą mogły działać dwa punkty socjalne dla ubogich w Ngaoundaye i Bocaranga. Osoby niepełnosprawne z Ndim, których niełatwe życie skomplikowała jeszcze bardziej choroba Heinego-Medina, będą mogli udać się do specjalistycznej kliniki chirurgicznej i poddać się operacji. Głęboko wierzymy w to, że ich stan się poprawi, nie będą uzależnieni od opieki innych i odzyskają sens życia. Może nie poprawimy egzystencji milionów ludzi, może tylko kilkaset dzieci nie będzie cierpieć głodem, kilkadziesiąt nie zachoruje i nie umrze z powodu picia zanieczyszczonej wody. Tylko w kilku

afrykańskich wioskach wybudujemy szkoły i umożliwimy dzieciom edukację, tylko kilku niepełnosprawnym poprawimy jakość życia. Nie uda nam się pomóc wszystkim potrzebującym, ale razem pomożemy tym kilkuset, kilkudziesięciu, kilku...

Zebraliśmy 90% kwoty potrzebnej do zrealizowania w tym roku aż 16 projektów w Republice Środkowoafrykańskiej. Wierzymy, że uda nam się zebrać całą potrzebną kwotę. Jesteśmy bardzo wzruszeni zaangażowaniem tak wielkiej rzeszy ludzi i wdzięczni wszystkim ofiarodawcom za ich hojność. Dziękujemy wolontariuszom w szkołach, w przedszkolach i w parafiach, dziękujemy nauczycielom i wszystkim zaangażowanym za ich trud i poświęcenie.



Zachęcamy do śledzenia akcji na stronie: <https://paczek.kapucyni.pl/> i przyłączenia się do nas – Fundacji Kapucyni i Misje.

Zdecyduj się i pomóż!

SEKRETARIAT MISYJNY Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

opiekuje się misjonarzami pracującymi
na kontynencie afrykańskim
w Republice Środkowoafrykańskiej
i Republice Czadu.

Wspieraj misję swoją modlitwą, pracą i ofiarą.

Sekretariat Misyjny Kapucynów
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO BP: 97 1020 2892 0000 5502 0016 6371

FUNDACJA KAPUCYNI I MISJE

zajmuje się organizowaniem i niesieniem pomocy
humanitarnej, dobroczynnej i charytatywnej ludziom
potrzebującym w krajach afrykańskich,
w których pracują misjonarze z Zakonu
Braci Mniejszych Kapucynów.

Przyłącz się do nas już dziś!

Fundacja Kapucyni i Misje
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO S.A. 47 1240 4533 1111 0010 3492 9934
www.fundacja.kapucyni.pl



KRS: 0000356850

Biuletyn „Kapucyni i misje”

Za zgodą władzy zakonnej.
Do użytku wewnętrznego Kościoła.
Koszt prenumeraty to dowolna ofiara
na pokrycie wydatków związanych z drukiem.

Wydawca:

Sekretariat Misyjny, ul. Korzeniaka 16
30-298 Kraków, tel. (+48 12) 623 60 50 wew.132
e-mail: misje@kapucyni.pl
www.misje.kapucyni.pl

Redakcja:

br. Jerzy Steliga OFM Cap (red. naczelny)
Diana Bonowicz,
Nakład: 5 000 egz.

Skład i druk:

Studio Graphito, tel. 71 310 21 65





TWÓJ

DOKONA WIELKIEJ ZMIANY

nakarmimy dzieci
zbudujemy szkoły
zbudujemy studnie

**PRZEKAŻ 1% PODATKU NA RZECZ FUNDACJI
KAPUCYNI I MISJE KRS: 0000356850**



FUNDACJA
KAPUCYNI I MISJE

PRZYŁĄCZ SIĘ DO MISJONARZY KAPUCYNÓW!
www.fundacja.kapucyni.pl